



*Widok na Zamek ryski — siedzibę Prezydenta
Państwa dr K. Ulmanisa*

Biedny Skrzacik - Wędrowniczek rzucał się na oślep do ucieczki. Potykał się co chwila o grudki i suche gałązki na drodze, aż dopadł niedużego drzewa. Dzięki wrodzonej zwinności szybko znalazł się na wysokiej gałęzi, gdzie poczuł się zupełnie bezpiecznie. Uczepiony się mocno sęku, Skrzacik zrobił w listku dziurkę i spojrzał w stronę, skąd dochodziły głosy. Ujrzał kilkunastu chłopców, którzy z krótkimi siekierami w ręku szli i gwarzyli głośno.

— Światosławie — odezwał się jeden — to już tu niedaleko nasza polana, gdzie dziś — jak co roku — obchodzić będziemy święto Kupaly.

Tak, tak, Wielisławie, jesteśmy prawie przy naszej polanie.

— Hej! — powiedział Światosław, zwracając się do chłopców, — weźcie się raczno do roboty, bo czas już wielki świąteczne stosy przygotować.

Zanim Skrzacik zdążył się obejrzeć, już drzewko, na którym siedział zadrżało od silnych ciosów siekiery.

„Zginałem“ — pomyślał Skrzacik, patrząc bezradnie na chłopców, ścinających drzewo. Wtem z przeciągłym trzaskiem, drzewo pochyliło się gwałtownie i runęło na ziemię. Całe szczęście, że ta gałązka, na której wisiał uczepiony Skrzacik, znalazła się na górze. Było za wysoko, żeby skoczyć. Skrzacik ludzi się nie bał, ale gdy spojrzał na ich nogi, obute w skórzane chodaki, zadrżał cały z przerażenia, bowiem jeden ruch tej nogi mógł pozbawić go życia. Chłopcy nie wiedząc o tym, że na gałązce przyczał się mały, dobry Skrzacik-Wędrowniczek, pocięli drzewo na kawałki i poczęli je ciągnąć ku polanie. Co to była za podróź, to opisać nawet trudno. Gałąź skakała po korzeniach drzew, przedzierała się przez krzaki i każda chwila groziła Skrzacikowi upadkiem. Trzymał się mocno, położywszy się na brzuszku i objąwszy gałąź rączkami. Raptem poczuł, że unosi się do góry i spada. To chłopcy rzucili gałąź na duży stos. Skrzacik, padając, stracił przytomność.

Gdy się obudził, słońce już zachodziło i na las spadał coraz gęstszy mrok. Skrzacik się poruszył i omal nie spadł na ziemię, chwycił się jakiejś gałązki i to go uratowało. Rozejrzał się w koło i zobaczył, że ludzie odeszli i że wisi zupełnie nisko nad ziemią. Ostrożnie, czepiając się liści i gałązek, zszedł ze stosu i choć wszystkie

kości go bolały, zaczął co tchu unikać w stronę lasu. Ale polana była duża, a stos był ułożony w jej środku, zanim doszedł do lasu nóżki go tak rozbolały, że musiał zatrzymać się pod pierwszym drzewem, tu usiadł na wystającym korzeniu i zamyslił się nad swoim smutnym losem.

Tej części lasu nie znał, a szybkobiegacz Długoszek był gdzieś daleko i sam nie wiedział, jak go odszukać. Zapłakał rzewnie, czując, że sam sobie nie da rady.

— Pit, pit, pit, Skrzaciku, czego płaczesz — zapytał go wróbelek, który sfrunął z gałęzi i usiadł obok.

— Jakże nie mam płakać wróbelku — odpowiedział Skrzacik, kiedy jestem tak daleko od domu, nawet nie wiem, w której stronie on się znajduje, ani gdzie się podziął mój sąsiad i przyjaciel Długoszek.

— I ja nie wiem Skrzaciku — odpowiedział wróbelek — gdzie jest twój dom i kim jest twój przyjaciel Długoszek, ale opowiedz, jakęś tu przywędrował, a może jakąś dobrą radę dla ciebie znajdziesz.

Ocierając piąstkami łzy, Skrzacik opowiedział mu swe przygody.

— Pit, pit, pit, Skrzaciku, tu zostać nie możesz, ale posiedź chwilkę, a znajdę gdzieś blisko jakąś kryjówkę — zaczął wróbelek i poleciał na poszukiwania. Po chwili był już z powrotem.



— Ćwierk, ćwierk, Skrzaciku, chodź ze mną, a pokażę ci dobre schowanko, jest to stara dziupla, tuż przy ziemi, i będziesz mógł tam nie tylko się schować, ale i zobaczyć obchód święta Kupały. —

Wróbelek ruszył przodem, zabawnie podskakując, a Skrzacik-Wędrowniczek poszedł za nim, postekując zęcha, bo go wszystkie kosteczki bolały.

Stara dziupla była niedaleko, a co najważniejsza, nisko, tuż nad ziemią. Skrzacik zaczął się powoli gramolić, wreszcie dobrnął do dużego otworu, w którym skrył się natychmiast.

— Ćwierk, ćwierk, Skrzaciku, powie-dział wróbelek, sadowiąc się koło niego, będziemy tu bezpieczni i wszystko zobaczymy.

— Dziękuję ci, wróbelku kochany, je-steś bardzo dobry dla mnie, odpowiedział Skrzacik i objawszy główkę ptaszka po-całował go czule w dziobek.

(DCN)



Aleksander Anik-Nikończuk

Wierszyki

ZASKOCZENIE

— Z Boguchwałem
Pójdziem wałem,
Gdzie czerwieni smółka;
Kotem, kotem —
Chyżo, jak jaskółka.
— Z kwiatów toni
Echo dzwoni,
Biegnie po murawie;
— Chwytaj Sławoj!
Brawol Brawol! —
Do nas, Bogusławie!

POBUDKA

O, wyl! co jeszcze śpicie!
Wokoło tętni życie,
Świat z pracą już się splótł!
już na nic spać się zdało!
Bo śnić — to jeszcze mało —
Nam wciąż potrzebny — trud!!!
Wyścigi pracy wszędzie!
I ten Zwycięzca będzie —
Kto stworzy Lepszy Dzień,
O! Praca — tylko Praca!
Ku Dobru świat zawraca,
Nie blask — zwodniczych —
śnień..

MARSZ

Kroczyliśmy śmiało
Twardą opoką,
Patrzynymy w przyszłość —

Jak jedne oko,
Ramię z ramieniem się
sprzęga,

Z sercem gorącym,
Głęboką wiara,
Duszą złączeni
Tą prawdy miarą:

W jednościi nasza potęga!

O JAGUSI

'Ta Jagusia, ta malutka,
nie wiedziała nic o smutkach.
Cały tydzień pracowała,
a w niedzielę tańcowała.
Tańcowała,
wywijala,
aż się trzęsła izba cała!
Sześć dni z rzędu od roboty,
a ten siódmy od ochoty.
Więc Jagusia chociaż mała,
sześć dni z rzędu pracowała,
a w niedzielę,
po kościele,
tańcowała mało-wiele.
Brat Jagusi, dzielny harcerz
przygrywał jej na fujarce,
a i stary dziaduś czasem
przytupywał jej obcasem!
Pełno śmiechu
i wesela.
Jak niedziela — to niedziela.

Zabawmy się!

BALON I SAMOLOTY

Uczestnicy trzymają się za ręce, tworząc jaknajwiększe koło. Do niego wpuszcza się „balon z gondolą” (zucha z piłką nożną, butem, lub innym przedmiotem, ciągnionym na sznurku 2 metrowej długości). Za nim wpuszcza się dwa „samoloty” (następnych dwóch zuchów). Wszyscy oni mają związane oczy (albowiem jest noc).

Samoloty warczą. Muszą one schwytać nieprzyjacielski balon, który, kierując się słuchem, uchodzi przed nimi, ciągnąc za sobą gondolę.

Samolot zaplątany w sznur gondoli — ulega zepsuciu: milknie i staje nieruchomo na miejscu katastrofy. Może on tylko wówczas chwycić balon, gdy ten przelatuje obok lub gdy naleciał na niego.

Jeżeli balon unieruchomił dwa samoloty, zostaje zwycięzca, a jeśli dostał się do niewoli — przegrywa. Dalej grę prowadzi następni.

Gdy balon lub samolot w przelocie dotknie kogokolwiek z koła, ten mówi: „chmura!”. Zaś podczas katastrofy samolotu „chmury” oddają odgłos pęknięcia zbiornika — krzyżąc: „Bhummm!” a w chwili schwywania balonu przez samolot — naśladują gwałtowny syk uchodzącego gazu z przedartej powłoki.

NIEMY

Jeden z grających jest niemym. Gdy wchodzi do pozostałych, ci go chóralnie zapytują:

Minę masz osowiałą,
Powiedz — co ci się stało?

Wówczas niemy ruchami, gestem, mimiką i dźwiękowym naśladownictwem głosów przyrody ilustruje swoją przygodę. Grający bacznie odczytują.

Gdy przez kogokolwiek wiernie zostało wszvstko „odezyciane”, niemy odzyskuje mowę i w podskokach przylączy się do grupy śpiewając:

Czary zdjęte ,o dziwo!
Już mam mowę prawdziwą.

Ten zaś, który odczytał — zostaje niemym.

BALONIARZE

(Śpiewa się powoli)

Nasz balon płynie
W cudnej krainie,
W cudnej krainie przestworza,
A pod nim w blasku,
Jak na obrazku:
Łądy ogromne i morza.

Zuchy w kole. Przy dwóch pierwszych zwrotkach — koło się kręci. Śpiewając trzecią zwrotkę, zuchy okręcają się naokoło siebie. Przy dwóch zaś następnych robią w takt śpiewu zgięcia tułowia raz w lewo, drugi raz w prawo. A przy końcowej cofają się przy śpiewie każdej sylaby krok w tył, rozkładając szeroko rączki, poczem, milknąc, pochylają się lekko ku przodowi.

NA MORZU

Wskakujemy! Hejże hop!
Już jedziemy: Hop!hop! hop!
Łódka tańczy niby koń,
A pod łodzią—morza toń.
Łódź chyboła — chyb, chyb, chyb!
Woda chlupa — chlip, chlip, chlip!
A marynarz — zuch, zuch, zuch,
Wciąż wiosłuje — buch, buch,
buch!

Przy pierwszej zwrotce zuchy zeskakują jednocześnie ze schodów lub z innego podniesienia, przy drugiej robią z dłoni tubę ,przez którą krzyczą. Przy trzeciej, skacząc, udają konie i szeregują się, a przy czwartej, wwrzuciwszy ręce w boki, zataczają koła. Przy piątej już maszerują kołysząc się w lewo i prawo i trzymając się pod boki. Przy szóstej podnoszą w górę kolana posuwając się prawie w miejscu. Przy następnej wyprostowują piersi i, idąc chwacko, salutują do czoła. Przy ostatniej naśladują głębokie wiosłowanie. Cztery ostatnie zwrotki powtarzają maszerując wokół boiska, formując za każdym razem inny szyk. W dnie słotne, gdy trzeba zbiórkę przerobić pod dachem, zuchy przy nierwszej zwrotce siadają okrakiem na krzesła, czy ławki, ustawione rzędem czy szeregiem. Przy piątej przechylają się w prawo i lewo, trzymając się silnie rękoma krawędzi, przy szóstej uderzają jednocześnie z obu stron nogami w boki ławki czy krzesła. Przy innych zwrotkach — jak poprzednio.

Podróżni wchodzą do balonu (stają w szeregu na linii). Kierownik (szóstkowy), mając barometr: deszczółkę pomalowaną z jednej strony na białą, a z drugiej na czarno, sprawdza pogodę, t. j. podrzuca deszczółkę przed podróżnymi. Jeżeli „barometr“ upadłszy odkryje białą stronę — podróżni wzlatują (robią szybko krok w przód), jeżeli czarną — opadają (robią krok w tył). Kto się omylił lub spóźni, „wypada z balonu“ (siada i dalej udziału w grze nie bierze).

Podróżni, którzy dotrą do „stratosfery“ (drugiej linii nakreślonej o 20 kroków), momentalnie „opadają“ na „ziemię“ (biegną do linii pierwszej).

Kto pierwszy „opadnie“ (stanie na linii) — zostaje kierownikiem balonu i rozpoczyna się ponowny lot.

O PORANKU SZUMIĄ DRZEWA

O poranku szumią drzewa:
— Gdzie jest twoja wioska, gdzie?
Jaki teraz ptak tam śpiewa,
Jaki kwiat swe wonie tchnie?
Jaka bieda w oczy kole,
Jaką troskę przyniósł czas?
Czy już koszą nasze pole,
Czy po drzewo jadą w las? . . .
Jak się dymy z chaty wija,
Jak w ognisku trzeszczą skry?
Jak tam ludzie czują, żyją,
Czy już oschły rosy, łyż?...
— — — — —

Listy od Redakcji



Pusza. — Wacusi Pawlukiewicz. Bardzo miły liścik napisałeś do nas, Wacusiu. Natomiast nie piszesz, ani też siostra Twoja nie pisała, który z Was jest starszy. Dziękujemy za przysłane rozwiązanie z „Nowego wyścigu sprytnych głów“. Czy rozwiązałeś dobrze, o tym się dowiesz po ukończeniu konkursu. Teraz czekamy od Ciebie dalszych rozwiązań. Dlaczego nie napisała do nas, ani przysłała rozwiązania Twoja siostrzyczka Jadzia? Mając takie zajęcie latem, jak Ty, można dużo poznać ptaków i innych zwierząt. Tylko, Wacusiu, nie niszczyć gniazdek ptaków, ani zabierać piskląt. Krasnal Włóczęga w swych wędrówkach był i w Puszy. Macie tam śliczne, duże jezioro, a w miasteczku na pogórku ładny kościół, do którego latem, na dzień św. Bartłomieja, zjeżdża się dużo ludzi. Czekamy więc, Kochanie, następnego Twego listu.

Wańdzia Pukitówna. Dziękujemy Ci za miły liścik i ślicznie umalowane laleczki. Najbardziej Krasnalom podobala się Klarcia. Wiosna, Wańdziu, jest też i u nas. Coprawda w Rvdze nie rosną przelaszczki, ale dużo ich oraz innych kwiatów przywożą z pobliskich lasów. Chcesz

dowiedzieć się, gdzie mieszkamy i jak wyglądamy? Otóż tak jest, Wańdziu, jak piszesz, mieszkamy w dużej i wysokiej kamienicy i każdy, z wyjątkiem Krasnalka Niewielkiego, ma długą brodę, podobną tej, co ma św. Mikołaj, którego, przypuszczam, widziałeś już na Gwiazdce. Fotografii swej nie umieścimy, lecz Krasnalowi Włóczędze tak się podobała Pusza w czasie jego ostatniej bytności, że postanowił tego lata pojechać raz jeszcze, a wtedy, napewno się zobaczymy. Piszesz nam, że masz kuzyneczkę Klarcię, ale zdaje się nam, że masz także siostrzyczkę Helenkę. Lecz ona nie jest podobna do tej Helenki-Laleczki, którą namalowałaś, bo laleczka ma żółte włosy, siostra zaś Twoja ciemniejsze. Przypuszczamy, że nie zapomnisz o nas i napiszesz jeszcze.

Dziękujemy. — Cześć Szklennik. List Twój z rozwiązaniami otrzymaliśmy i dziękujemy. Czekamy rozwiązań dalszych. W ostatnim numerze Krasnoludków rozpoczęliśmy drukowanie, obok Pzy, nowej powiastki z czasów dawnych. Jednocześnie z rozwiązaniem, napisz nam, jak Ci się ta powiastka podoba.

Krasnal Włóczęga



DZIAŁ ROZRYWEK

Nowy wyścig sprytnych główek

Nr. 11. — UKŁADANKA WYRAZOWA (10 punktów)

W kwadraciki należy wpisać odpowiednie litery, które w rzędach pionowych i poziomych utworzą 11 wyrazów o podanym poniżej znaczeniu.



Znaczenie wyrazów poziomych: 1—9 (czyli od kwadracika oznaczonego „1” do kwadracika oznaczonego „9”) — zwierzę drapieżne, w lasach żyjące, chodzące śladami i napadające nawet na ludzi, zwłaszcza podczas tęgich zim; 2—10 mebel ludowy, z desek sporządzony, służący do siedzenia; 3—11: naczynie, zwykle gliniane, na wsi pospolicie używane; 4—12: wyraz oznaczający zdrobniale „ojciec” 5—13: zaimek, określający położenie; 6—14: jedna ze spółgłosek tak jak ją się wymawia.

Znaczenie wyrazów pionowych: 7—2: piasek rzeczny; 8—3: nazwisko pisarza polskiego; 9—4 inaczej potwierdzenie odbioru, pokwitowanie; 10—5: staropolski wyraz, oznaczający tyle co „pan” lub „jęomość”; 11—6: wyraz wojenny, oznaczający natarcie na wroga; 12—14: zdrobniale imię żeńskie.

Nr. 12. — ZADANIE PRZYRODNICZE (10 punktów)

Na miejsce kropek należy wstawić takie litery, któreby utworzyły siedem nazw roślin pospolitych. Dla ułatwienia podajemy litery, które należy użyć: a, a, a, a, a, a, b, b, c, e, e, g, i, i; i; i; i; j; j; n; n; n; n; o, r, s, s, s, ś, ś, ś.



Łowcy rekinów

Rekinem jest wydłużony pęczek sitowia, słomy, czy trzciny, przewiązany szpagatem w kilku miejscach. Z przodu „rekin” ma głowę z kabląka różgi wierzbowej, lub drutu. Z tyłu — ogon z kolorowych frendzli, jak u latawca.

Polów rekina może się odbywać z brzegu, czy też z łodzi (jeżeli woda nie jest głęboka, a zuchy umieją pływać).

Polów mają harpuny. Są to kilkumetrowej długości szpagaty z przywiązanym na końcu kamieniem.

Jeżeli polów jest z brzegu, to rekin winien być w odległości około 5 metrów od takowego.

Zuchy wówczas zarzucają harpuny tak, by kamień trafił w kabląk.

Szóstka, która wyłowila rekina, jest zwiędniętą i powraca z łowów, niosąc rekina.

Polów z łodzi odbywa się w ten sam sposób, a rekin w mniej więcej takiej odległości jest między łodziami.

Zabawę tą można stosować przy przerabianiu cyklów eskimosów, robinzonów, marynarzy i innych.

A. Anik.

Do czasu dzban wodę nosi

— A czy skaranie boskie, czy co? Znowu mi ktoś skwarki wybrał!

Pani Józefowa stanęła bezradna przy kuchni i wpatrzyła się w ryneczkę z płynającym w niej tłuszczem bez skwarków.

— Nikt, tylko Władek, ten zawsze najpierwszy biegnie, kiedy mam do darowania usmażoną skórkę ze słoninki. To na pewno on!

W tej właśnie chwili Władysław z Burkiem wpadli do kuchni.

— A ty nicponiu, ty łobuzie, będziesz mi ty skwarki wybierał!

Duży, pyzaty Władek zasłaniał się przed uderzeniami matki, a oczy błyszczały mu figlarnie.

— Mamusiu, jak mamusię najszczerzej Kocham, to ja nie brałem żadnych, ale to żadnych skwarków prócz tych, które mi mama sama na drewnianej łyżce podaje.

Pani Józefowej opadły ręce.

— Więc któż?

— Alboż ja wiem? Może Michał, bo on tak przy stole zawsze za skwarkami poluje, to może... Ale, ale, mamusiu! Idźmy z Burkiem do stajni na szczury, bom je tam dziś widział!

I już Władka nie było.

Pani Józefowa rozglądała się po kuchni, szukając bodaj śladów sprawcy, ale prócz syczenia kociłka z wodą i brzęku much, żadnych innych odgłosów słychać nie było. Nie było też w domu więcej nikogo, prócz starej, burej z białym kotki, która na uprzywilejowanym jej miejscu przy kuchni, na murku, leżała sobie cicho i spała. Kotka zresztą nigdy nic nie wzięła i pani Józefowa chlubiła się nią u sąsiadów, że nigdy żadnego mięsa nie tknie i wszystko można przy niej zostawić. Zresztą ze względu na poparzenie, kotka w żaden sposób nie mogła skwarków wyjeść. Rozmyślenia pani Józefowej przerwał Michał, który z czupryną potarganą i w rozpiętej koszuli wpadł do domu z placem.

— Mamusiu! Co ten Władek mnie bije, że ja mamci wszystkie skwarki wyjadłem, co? Czy ja mamusi kiedy co ukradłem, co? Czy mamusia nie wie, że ja zawsze pytam się mamusi, czy co wolno wziąć, czy co? Może Hela wyjadła

skwarki, bo ona taki suchciel i chce „stłusnić“, to ja jej dam! — I nim pani Józefowa zdolała go zatrzymać, już wybiegł.

Na Bogu ducha winną Helę napadli Władek i Michał i pod uroczystą przysięgą wymusili prawdę, że nigdy, ale to nigdy mamusi skwarków nie brała, bo się boi, żeby jej na wargach nie powylatywały, jak mówiła stara Antoniowa.

Pozostali jeszcze Franka, Staszek i Zośka, a któres z nich na pewno skwarki wyjadło, bo przecież one same przez komin nie wyleciały.

Przy obiedzie Franka i Zośka uroczyście się tłumaczyły, że ani, ani! Boże broń! Przecież one wiedzą, jak to nieprzyjemnie, gdy niema akurat w domu słoniny, a skwarków też niema i wydaje się, jakgdyby kartofle były omaszczone smalcem, albo czym, a one przecież lubią gotować, to wiedzą, jakie to jest zamartwienie, kiedy ktoś narzeka przy stole, że skwarków mało, że niesłone i tym podobnie. Nie, na pewno żadna z nich skwarków nie wzięła, ale one sobie przyrzekają, że winowajcę znajdą i że to na pewno będzie Stach, bo on jeden jedyny ośmielił się kiedyś pić mleko przez słomkę, żeby mamci śmietany nie naruszyć i on na pewno ma jakiś fortel, którym skwarki wybiera.

Ale otóż i Stach wpada rozradowany i, trzymając pełną czapkę jaj, woła z uniesieniem:

— Patrzcie, co przyniosłem! Całe dwie kopy jaj znalazłem za stodołę na sianie. Kury sobie tam znosiły, a mamcia myślała, że to Burek zjada. Ja zawsze byłem za Burkiem i postanowiłem wysledzić, co się z jajami robi i dziś wyszedłem tę czubatą, ale jaka ona sprytna, to jej!

Wszyscy uradowali się serdecznie i narobiło się dużo hałasu, ale skwarki swoją drogą wyszły na trzecie danie. Stach wtedy zawołał:

— Daję wam słowo uczciwego człowieka, że prócz tego wtedy mleka, nie wziąłem mamci nic i nigdybym się nie ośmielił.

Pani Józefowa była bardzo ucieszona, że ma tak poczciwe dzieci, ucałowała potężnego Władka i przepraszała za niez-

służone szfurchańce, ale dzieciom położyła na sumieniu, aby koniecznie złodzieja wynalazły. Mimo jednak wielu usiłowań w tym kierunku, skwarki dalej znikają i już od kilku tygodni dzieci dostawały kartofle z samym tłuszczem.

Aż raz...

Było to właśnie przed wieczorem. Pani Józefowa pojechała na targ z indykami, a gospodarstwo całe złożyła na barki Zośki. Zośka cały dzień kręciła się jak fryga, aby wszystkiemu podołać i już teraz, pod wieczór była sroźce umęczona, a miała jeszcze kolację podać, statki pozmywać i dopilnować młodsze rodzeństwo, aby się przed snem pomyło czyściutko.

Siedzi sobie Zośka na małym stołeczku przed kuchnią i dokłada do pieca drobne gałązki. Kartofle dogotowują się i „pyrczą“ głucho, słoninka uskwarzona odsunięta z ryneczką na kraj blachy. Zośka trzyma głowę w dłoniach i myśli. Od czasu do czasu zastanawia ją, że coś jakby kipi, a w kuchni rozchodzą się zapach spalonej słoniny, jest to jednak o tyle dyskretne, że nie pobudza jej do wstania i sprawdzenia. Patrzy zresztą poprzez palce, jak najpierw jasnoczerwone, a następnie ciemniejsze światło żarzy się i przenika przez ciało. Zosi się to podoba i zaczyna powoli palce rozstawiać i patrzeć już w sam ogień. Potem wzrok jej zatacza szersze kręgi i widzi kuchnię ze stojącymi na niej garnkami, dalej przymurek i biało-burą kotkę, jak... Cóż to? czy Zośkę wzrok myli? Odkłada ręce od twarzy i widzi, że kotka siedzi obojętnie na przymurku i mruczy pacierze. Jest bardzo w swej modlitwie zapamiętała, bo

nawet na ciche zawołanie Zośki — kici, nie drgnie i nie otworzy oczu.

— Et — myśli sobie Zośka, — przywidziało mi się i tyle.

Znów kładzie głowę w dłonie i znów powoli rozszerza palce i — znów?!

Tak. Teraz Zośka doskonale widzi, jak kotka z zamrużonymi oczyma, nie przerywając mruczenia pacierze, wysuwa błyskawicznym ruchem łapkę, z łapki długie pazury, macza łapkę w ryneczce ze słoniną i, nadziawszy na pazurki po jednym skwarku, kładzie tuż obok siebie i przykrywa ogonem. Robi to tak szybko, że nim Zośka zdąży zrozumieć cały proceder, już kotka jest w dawnej pozycji i niczym nie zdradza najmniejszego ruchu. Czasem tylko ze skwarka opadnie na gorącą blachę kropla tłuszczu, który zasyczy i rozchodzi się po kuchni swąd spalonej słoniny.

Zośka zrozumiała.

— Więc to tak? Dobrze. Teraz nie pozwolę ci dłużej kraść, ale pokażę wszystkim, żeby się przekonali, że to żadne z dzieci, ale ty, nieznośna, fałszywa kocico, kradłaś nam tak długo skwarki.

Ponieważ rzecz była bardzo ciekawa, w tym tygodniu codziennie były kartofle z kwaśnym mlekiem, bo każde z dzieci chciało widzieć kotkę na gorącym uczynku.

Kiedy nareszcie wszyscy doznali rozkoszy sprawdzenia swej niewinności, każde z dzieci dało kotce klapsa. Pani Józefowa zaś usunęła ją na zawsze z ciepłego kąta na przymurku mówiąc:

— Trudno. moja kotko, do czasu dzban wodę nosi.

Stefania Siatkowska.

